

Dyplom

dla

Hanny Marii Drłyjača

za zajęcie I miejsca
w konkursie

Historia mojej rodziny

organizowanym przez

Ambasadę Rzeczypospolitej Polskiej
w Belgradzie



Kierownik Wydziału Konsularnego

Grzegorz ORALIŃSKI
Radca-Minister

P a m i ę t a m ...

Chciałabym napisać kilka słów o sobie, o życiu rodzinnym, tożsamości..., ale nie wiem na czym oprzeć swoje opowiadanie? Nie brakuje wydarzeń, lecz dokumentów, korespondencji, fotografii, a czasem pamięć zawodzi. Ze to winę ponosi częsta zmiana miejsca zamieszkania, a przede wszystkim zawierucha wojenna. Z rozpoczęciem wojny straciliśmy wszystko.

Powstający tu wycinek z życia rodziny Chełchowskich, w smutnych historycznie czasach, specjalnie w swej pierwszej części, nie wywodzi się ze stronic żadnego dziennika, ani Matki, ani Brata lub podpisanej. Wojna, do tego okrutna, otwiera szeroko oczy dziecka, które przez osiem lat nie odłącza się od Matki. Są to przeżycia bardzo bolesne, przez dziesięciolecia wielokrotnie rekonstruowane i uzupełniane dodatkowymi szczegółami, wspomnieniami przedwcześnie dojrzewającego człowieka. Przestraszona i spocona, budzę się i teraz w nocy z okrzykiem: Mamusiu, Mamusiu... Wolałabym gdyby moje prawdziwe uczucia były wyrażone pięknymi słowami i przetoczone w zgrabne zdania.

Zacznę od daty urodzenia. 1.X.1935 roku urodziła się ~~xxx~~ w Stanisławowie dziewczynka Hanna Maria u rodziców Piotra i Konstancji Chełchowskich. Matka z domu Zgliczyńska ze zubożałej już szlachty. Miałam o ~~trzy~~ trzy lata starszego brata Jerzego. O rodowodzie moich rodziców wiem niewiele. Pochodzili z Mazowsza, średnie wykształcenie zdobywali razem w Pułtusku i kochałi się. Po maturze Ojciec wyjechał do Warszawy do Szkoły Oficerskiej a Mama zapisała się na AMF. Nie mogła jednak kontynuować studiów z powodu poważnej choroby. Myślę, że w 1930 roku Ojciec/26/ w stopniu podporucznika został skierowany do Lwowa, na pierwszą placówkę, gdzie wzięli ślub cywilny/był to obowiązek wojskowych/ i kościelny. We Lwowie zostali do 1932 roku, a Ojciec już w randze kapitana został przeniesiony do Stanisławowa. Tu w 1932 roku rodzi się brat Jerzy, a ja trzy lata później. Myślę, że w 1937 roku przenieśliśmy się do Jarosławia a później do Brześcia nad Bugiem. Życie w rodzinach wojskowych było uwarunkowane "przeniesieniami" lecz plynęło dość zamożnie i wygodnie.

Doskonale pamiętam Brześć. Mieszkaliśmy, jak zresztą wszystkie rodziny wojskowe ~~na~~ ^{Twierdzy - na} Wałach. Do miasta jeżdżiło się kolejką, gdzie dla wojskowych zarezerwowane była luksusowe "pulmany". Mieliśmy służącą, Tatuś ordynanasa, z którym uwielbiałam chodzić na spacer. Pamiętam uroczystości wojskowe - rzucenie wianków do Bugu, pamiętam Ojca na koniu, nawet zabawki i Matkę szykującą się na bal.

Starszy ode mnie Brat był niezwykle uzdolnionym dzieckiem i już w Brześciu zaczął chodzić do szkoły. Pamiętam, że już w lecie 1939 roku Ojciec wyjechał na manewry, gdzieś w pobliżu Warszawy. Stacjonował w wielkim majątku w którym odwiedziliśmy Go 26 lipca, na moje imieniny. Właściciel majątku, bezdzietny dziedzic zakochał się w żonie Haneczce i obwoził ją tzw. linijką po okolicach, obsypywał prezentami. Jeszcze wtedy nie wierzyliśmy, że dojdzie do wojny. Matka potem z żalem mówiła, że ^{nie}byliśmy wystarczająco przezorni. Ojca już nie zobaczyliśmy do Bożego Narodzenia 1939 roku. Do wybuchu wojny jesteśmy z Matką w Brześciu. Pamiętam, że 1 września mieliśmy zejść do schronów przygotowanych dla rodzin wojskowych. Zostawiliśmy mieszkanie/klucze w drzwiach/ wysprzątane na przyjazd sztabu, mama spakowała walizkę, o której później często wspominała. Jej zawartość była świadectwem kompletnego braku świadomości tego co nas czeka. Na prędcie spakowała dla dzieci coś ciepłego do ubrania, piłkę i lalkę. Dla siebie, u w a g a , suknię balową , bo przecież natychmiast miały być obchody zwycięstwa, elegancki szlafroczek/później był szkolnym rekwizytem teatralnym/ i kosmetykę. W ostatniej chwili wzięła kołdrę, która w schronie była prawdziwym zbawieniem.

Pamiętam dźwięk i dym pierwszych bomb, które spadły na Brześć i maski gazowe wkładane nam dzieciom.

Pamiętam płacz i zorganizowany na prędcie chrzest dzieci. Wtedy i ja, czteroletnia, zostałam ochrzczona.

Natychmiast rozeszła się wiadomość, że należy opuścić Twierdzę i uciekać, bowiem okoliczna ludność ukraińska "szukowała" się specjalnie na rodziny wojskowe.

Matka i dwie przyjaciółki z dziećmi zorganizowały dwa wozy z zaprzęgiem końskim u Polaków, przychylnych gospodarzy i zapłaciły im resztkami gotówki i biżuterią osobistą i wyruszyliśmy przed siebie. Okazało się, że ~~jest~~ do Janowa Podlaskiego, gdzie był pierwszy postój i gdzie na parafii otrzymujemy metrykę urodzenia. Później dowiedzieliśmy się, że za nami zorganizowano pogoń, na szczęście bez skutku.

Domu już nie zobaczyliśmy. Ojciec walczył w obronie Warszawy, a Matka z dwojgiem dzieci i jedną walizką/w niej wspomniana suknia balowa!/kompletnie bez środków do życia. Płakała, ciągle płakała, ale już wtedy i do końca wojny, okazała się dzielna i poświęcona dzieciom. Ciągle mówiła "aby przeżyć".

Z Janowa wyruszyliśmy do Siedlec i tam zamieszkali u kolejarza - za opłatą i wyczekiwali wiadomości o Ojcu. Nie umiem powiedzieć jaki sposób nas

odnalazł, ale pewnej nocy/chyba listopadowej/ zapukał do okna. Pamiętam radość a zarazem i smutek, bo co począć? W Siedlcach okupacja niemiecka, a i policja granatowa Niemcom na usługach. Ojciec się ukrywa w piwniczce, wiem z opowiadań, że był w cywilnym ubraniu. Był w kontakcie z grupą żołnierzy, którzy szykowali się na przejście przez zieloną granicę i na ucieczkę na Zachód. Długa i niebezpieczna była to droga.

Pamiętam zimny i śnieżny dzień. Odprowadzamy Ojca na stację kolejową. Nieświadoma jestem wszystkiego, ale smutek jest wielki. Na dworcu Niemcy. Ojciec wsiada do odjeżdżającego w nieznane pociągu i z otwartego okna macha na pożegnanie czerwoną chusteczką. Odjechał na ponad osiem lat, a czerwona chusteczka była zawsze, wraz z naszą fotografią, na sercu żołnierza, który walczył "o wolność naszą i waszą". Matce na pożegnanie powiedział: "Wybacz, najpierw jestem żołnierzem a dopiero ojcem i mężem". Myśla, że mu tego nigdy nie wybaczyła.

Dla nas rozpoczęła się długotrwała wojenna gehenna. Nie wiem jak to się stało, że Matka jesienią 1940 roku zdecydowała się pojechać z nami do nadbużańskiej wsi Lipno. Kto ją tam skierował? Wieś biedna, a życie jak sprzed stu laty. Jednak w odległości 2 - 3 km było wiele zamożnych gospodarstw, nawet bogate posiadłości hrabiowskie.

Nas, nieznanych, chłopi niechętnie przyjęli. Jednak dostaliśmy pomieszczenie w biednej lepiance na końcu wsi. Nazwijmy to "pokojem" z popękany ulepionym piecem, i dwie prycze. Na ścianach wewnątrz, jesienią i zimą szron, więc wilgoć. U gospodarzy oprócz nich koza i bocian. Bocian z połamanym skrzydłem nie mógł na czas odlecieć i wraz z nami biedował.

Ten straszny okres życia został zakodowany raz na zawsze w mojej pamięci. Nikogo nie znamy, nikt nas nie chce. Nie wiem czym nas Matka karmiła. Zima, jak wiemy, była wyjątkowo ostra i śnieżna. Nie miałam butów na śnieg, nie wychodziłam na dwór, więc bocian był moim towarzyszem zabawy. Matka, dzięki znajomości języka niemieckiego, dostała pracę w wiejskiej mleczarni. Była to bardzo uciążliwa praca. Trzeba było przed świtem zebrać mleko i raniutko odtransportować o 5-ej rano/do miasteczka oddalonego o 6 km. Zapłata była w naturze i w ten sposób mieliśmy co jeść, a czasem dostawało się i "punkty" na zakup niezbędnych towarów.

Mój brat/8/ zaczyna chodzić do prywatnej szkoły zorganizowanej dla własnych dzieci w jednym o 2 - 3 km oddalonym zamożnym gospodarstwie. Zostaje tam niezwykle dobrze przyjęty, bo był doskonałym uczniem, a państwo Łokazali się dobrymi ludźmi przez te 5 lat niedoli. Zresztą nasze więzi nigdy się nie przerwały. Do dziś z potomkami jestem w kontakcie.

Na wiosnę dostajemy nowych gospodarzy - Jasia i Jaśkową Cz. Przeprowadzamy się do ich drewnianego domku i żyjemy wspólne, wiejskie, biedne życie. Mama czasem z młyna dostaje pomoc.

Ale jak wiadomo: w-o-j-n-a, a o Ojcu nie ma wieści.

Niemcy często napadają przygraniczną wioskę, robią oblężenia, odprowadzają ludzi. My ukrywamy pochodzenie wojskowe mówiąc, że Mama była nauczycielką. Kręcili głowami, ale możliwość porozumienia się po niemiecku dużo znaczyła. Pamiętam zapracowaną i dzielną, skupioną i zatroskaną Matkę. Swoim sposobem bycia, po-woli zdobywała przychylność i przyjaźń ludzi.

Należałoby dużo napisać o życiu na wsi w warunkach okupacyjnych, co napewno byłoby dla historyka lub ludoznawcy źródłem wiedzy. Zatrzymam się jednak na naszym przeżywaniu w gościnnym domu Jasia i Jaśkowej. Byli to gospodarze na to środowisko dość zamożni, ale i pracowici. Wielodzietni. Jasio siał żyto, sadził buraki i kapustę, miał mały sadek z jabłoni. Miał konia/majątek na te czasy/, hodował krowy, świnie, kury. Mieli chleb na przednówku, więc wszystko. Mamusia jak mogła dodawała przez siebie zarobione artykuły /wiadro, miednicę, talerze aluminiowe/. Założyła natychmiast ogród warzywny, co było sensacją. Wprowadzała do naszej wspólnej kuchni "miastowe" potrawy. Cała wieś ją nazywała Pani, nasza Pani. Wszystko miała! Jaśkowie ją cenili, a mając trzy córki, specjalnie kochali b r a t a Jurka, który już umiał wyprząść i zaprząść konia. J a ś k o w i e - j a c y to byli ludzie!. Mieliśmy ich za rodzinę, dobrą, kochaną rodzinę.

Największą jednak prośbą był brak wiadomości o Ojcu. W końcu lata 1940 roku otrzymujemy kartkę, jedną później drugą, ze Splitu. Znaczy żyje!. Domyśla się Mama, że przeszedł gólgotę, aby dobrnąć do Jugosławii. Ale następuje i rozczarowanie - te kartki mają datę z przed 2 - 3 miesiące. Gdzie On jest teraz, w tej zawierusze wojennej?

Niemcy ciągle organizują łapanki. Matka przerażona: co będzie z dziećmi jak się jej coś stanie? Zrobiła nam plecaczki i w nich wszyła dane o naszym pochodzeniu. Może Tatuś wróci, znajdzie nas... Żyjemy w strachu, brakuje nam ubrań, choć z miasta czasem ktoś coś podrzuci. Czasem dostajemy coś od tych bogatych dzieci, od tych państwa gdzie Brat chodził do szkoły. A ja? Ja chodziłem do wiejskiej szkółki. Czasem 2 razy lub raz w tygodniu póki Niemcy i tego nie zbroniли. Wcale mi wiedzy nie brakowało, bawiłam się z dziećmi wiejskimi, pasłam z nimi krowy, ponieważ umiałam się dużo łatwiej dostosować do wiejskiego życia aniżeli Brat. Jurek był osamotniony i nieraz upokorzony naszą sytuacją.

Za Ojcem tęskniliśmy, mieliśmy parę fotografii, które wieczorem, w tajemnicy oglądaliśmy. Chodziliśmy do kościoła modlić się o koniec wojny, przetrwanie

no i powrót Ojca.

Długo później, pewnie po roku, a może i dłużej dostaliśmy nową wiadomość! Ojciec jest w Anglii, w polskim wojsku. Jedynym znakiem, że żyje były paczuski, wysyłane z Portugalii, opłacone przez Ojca, choć i one szły bardzo, bardzo długo.

A wojna nadal trwa. W małym Lipnie jesteśmy świadkami niemieckich prób rakietowych V-1 i V-2. Było to, przecież ważne wydarzenie II wojny światowej! Dobrze pamiętam ten majowy wieczór. Cała wieś w kapliczce odmawia wieczorną litanię do Matki Boskiej. W pewnym momencie błysk i silny powiew położył nas na ~~podłogę~~ ^{Ziemie}. Nie jesteśmy świadomi, że Niemcom nie udało się próba rakiety, przeznaczonej na Londyn. Następnego dnia rano, zanim Niemcy zamknęli drogę, ludność latała oglądać miejsce rozerwania się rakiety, w tym i mój Brat i przynosili kolorowe kable i przewodniki, z których później robiono naszyjniki i korale. Ponieważ na tym obszarze działały silne jednostki partyzanckie, które podobno wiele części rozrzuconej rakiety przekazały Anglikom.

~~Pamiętam, że mówiono~~ Mimo strasznej biedy, strachu i niepewności Mama dbała o to żebyśmy nie zapomnieli o swoim miejskim pochodzeniu.

Pamiętam, że mówiono się o końcu wojny. Niemcy uciekają a "markieranci" kradną wszystko/co napotkają. Znowu strach o życie. Aby się nie zgubić, być razem.

Doskonale pamiętam wkroczenie wojsk rosyjskich do wioski Lipno. Pewna grupa chłopów/komunistycznie nastawionych/ przygotowała na powitanie "Łuk Triumfalny" z zielonych gałęzi, a Mamusia płakała, nie oczekiwała nic dobrego. To był początek naszych nowych życiowych kłopotów. Mama została bez pracy, bez środków do życia. Trzeba dzieci posłać do szkoły, a szkoły we wsi nie było. Brat musiał już iść do gimnazjum.

Jasio, nasz kochany gospodarz, zauważył zatroskaną Matkę i pewnego wieczoru powiedział: "Niech się Pani/tek ją zawsze nazywał/ nie martwi, dopóki my mamy co jeść ^a i dzieciom jedzenia nie zabraknie". Taki jest ten nasz polski chłop nadbużański!

Ale gdzie jest nasze Ojczyisko, czy żyje?

Przenosimy się do małego miasteczka - Sarnaki. Mamusia zostaje nauczycielką polskiego i historii w powszechnej szkole. Ma wykładać i religię/choć nie była bardzo świętobliwa/, a za to otrzymywać pieniądze od księdza, z czego się wogóle nie wywiązywał. Brat jedzie do Siedlec/miasto powiatowe/ do gimnazjum. Wynajmujemy ~~ona~~ mieszkanie, pieniędzy brakuje, dla Matki ^{nie} następuje okres głodowy. Częściowo nas ratuje UNRA paczkami żywnościowymi. Tatus? Tatus się zgłasza, przeżył wojnę, jest w Anglii! Boże, całe miasto o tym mówi! Radość, szczęście, posłał pierwszą pomoc po powracającym do Polski żołnierzu.

Zwracamy dzięki i przenosimy się do Siedlec, do Jurka, jesteśmy znowu razem. Mama dostaje pracę w szkole i skromne mieszkanie, zaczynamy oczekiwać powrotu Ojca. Potrwa to jednak do czerwca 1948 roku!

W międzyczasie, w listach Ojciec proponował abyśmy przyjechali do Anglii. Po długim namyślaniu Mama odmówiła, a Ojciec mógł wracając do kraju zapłacić życiem. Więc ma wrócić!. Następuje okres wyczekiwania. Materialnie poprostu nie damy sobie rady. Trzy miesiące nie mamy listu. Matka smutna - pewnie nie wróci.

Zamożniejsi ludzie w Siedlcach zaczęli żyć "jak przed wojną", my zaś nadal klepiemy biedę, czekając powrotu Ojca jak zbawienia. I jest, wraca...

Nagle dostajemy wiadomość, że jest w Szczecinie, prowadzi cały transport żołnierzy do kraju. Zawiadomił nas depeszą. Prosi aby ktoś po niego przyjechał. Zamieszanie!

Mama decyduje się, że wyśle 16-letniego Brata samego, co było dość dużą odwagą. Ja Brata bardzo kochałam i bałam się jak sobie poradzi. Jak się znaleźli, to tego nie wiem. Wyjaśnił mi, że ujrzał eleganckiego oficera w mundurze wojska angielskiego z oznaką "Poland" koło którego się kręcił pies Asan, który z nim przyjechał. Jak czule było przywitanie to mogłam sobie tylko wyobrazić. Do Siedlec przyjechali po dwóch dniach - na imieniny Piotra i Pawła. Ojciec powrócił "bogato". Przywiózł wszystko co nam było potrzebne do życia - my nie mieliśmy nic.

Mieszkaliśmy w jednym dużym pokoju z kuchenką. Był stół i 2 łóżka, 2 krzesła i jakaś szafa. Przywiezione rzeczy - skrzynie - wypełniły powierzchnię / baz reszty. Pies Asan wszedł pod stół i ze strachu nie wychodził parę dni /Czy też może stronił od naszej biedy?/.

Mama po 8 latach niewidzenia męża, dziwnie się zachowywała. A ja? - mnie wymarzony Ojciec się nie podobał, wydawał mi się za stary, aż brzydki, no i mundur nie taki. Jestem na wielkim dystansie, a przecież tak czekałam i dostałam moc prezentów. Po prostu nie szukałam kontaktu. Potrwało to dość długo, a Ojciec z synem znaleźli wsólny język. Dopiero po latach zbliżyliśmy się bardzo, byłam jego ukochaną córką i przyjaźniliśmy się *bardzo na codzien*. Tatuś przerażony zapewne naszą biedą, poprostu zamilkł. Przychodzili znajomi na herbatkę, aby go zobaczyć, a on raczej milczał, paląc swoją angielską fajkę. Pytali: czy pan major żałuje że wrócił?. Odpowiadał - nie, a co myślał to ja tylko przypuszczałam. Mimo wszystko nasze życie rodzinne w Siedlcach jakoś się kleiło.

UB kazało się Ojcu codziennie meldować. Wychodziliśmy na spacer w czwórkę z naszym psem Asanem. Ojciec wstępował na chwilę do "Komendy". Patrząc na drzwi, pytaliśmy się czy wyjdzie? Mieliśmy też "anioła stróża". Rodzice

postanawiają, że trzeba zniknąć z Siedlec. Ojcu proponują, ze względu na jego inżynierskie wojskowe wykształcenie, pracę w Radio w Warszawie ale nie i mieszkanie. Zapada decyzja, jedziemy na Zachód...do Wrocławia Teraz powinienam nakreślić szerzej sylwetkę mojego Ojca żołnierza, oficera, bohatera, mjr w stanie spoczynku. Piotr Chełchowski, major służby stałej Wojska Polskiego, kawaler Srebrnego Krzyża Virtuti Militari, Krzyża Walecznych, Złotego Krzyża Zasługi z Mieczami i innych polskich i zagranicznych odznaczeń, rocznik 1904 w czasie II wojny światowej - żołnierz dwóch kampanii. x/

We wrześniu 1939 roku, kapitan służby stałej Piotr Chełchowski był dowódcą kompanii łączności 30 dywizji piechoty Armii "Łódź", która to dywizja chlubnie zapisała się w dziejach historii Wojska Polskiego. Właśnie za pełną oddania i odwagi służbę we wrześniu 1939 roku odznaczony został Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, o czym dowiedział się dopiero kilkanaście lat po zakończeniu wojny, z książki dowódcy Armii "Łódź" gen. dyw. Juliusza Rómmla "Za honor i Ojczyznę". Napisano o nim w rozkazie pochwalnym dla 30 dywizji, 28 września 1939 roku: "Wyróżnił się w utrzymaniu w walkach obronnych na pozycji "Szczerców", oraz wielką osobistą odwagą zachęcał swoich poddanych do pełnego poświęcenia dla zapewnienia łączności oddziałom dywizji - dawał też przykład bohaterstwa i poprowadził swój oddział do przerwania otaczającego pierścienia niemieckiego. Jako ostatni wycofał się z pola walki." Z resztą swych żołnierzy walczył potem jeszcze do 27 września.

Po zakończeniu kampanii wrześniowej przedarł się zimą 1940 roku przez Szwecję, by przez Jugosławię dotrzeć do ~~Szwajcarii~~ Francji. Na kampanię francuską już nie zdążył i ostatecznie wylądował w Anglii. Tam w Szkocji wielokrotnie został do formującej się I Dywizji Pancerniej pod dowództwem gen. Maczka. Z tą jednostką Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przejechał w pancernym samochodzie drugą w swym życiu kampanię minionej wojny od Normandii do Wilhelmshaven.

Na podstawie tej części życiorysu Ojca staje się bardziej jasnym skąd się wzięła "opieka Anioła stróża" od pierwszego dnia Jego powrotu do kraju i późniejsze prześladowania Chełchowskich przez UB we Wrocławiu.

x/ A. Szymura, Z gen. Maczkiem pod Falaise - W rocznicę słynnej bitwy, "Słowo Polskie", Wrocław, 8 VIII 1984, s.4

A. Szymura, Piotr Chełchowski - oficer Armii "Łódź" - Kampanię wrześniową wspomina mjr w st. spoczynku, "Słowo Polskie", Wrocław 9-10 IX 1989, s.3

Moja Mama, Konstancja Walentyna, lubiana i zwana przez wszystkich Kocia była prawdziwą Matką, czułą, wyrozumiałą i pełną poświęcenia. Uczynna, harcmistrzyni dla której nie było sytuacji bez wyjścia. Trudności okupacyjne, przeżycia wojenne dały się w wieku średnim we znaki. Myślę, że za wcześniej odeszła. Kochałam ją bardzo i byłymy sobie bliskie.

Mego Ojca, oprócz wlotów żołnierskich, cechowała niezwykle pracowitość, gospodarność, uczuciowość a nade wszystko oddanie Rodzinie.

Jak już wspomniałem, w listopadzie 1948 roku przenosimy się do Wrocławia. Najpierw Ojciec, Brat i ja, natomiast Mama przyłączyła się do nas po Bożym Narodzeniu. Do Wrocławia jechaliśmy przez tydzień jako repatrianci. Wprowadziliśmy się do żadnego domu, wcześniej przez Rodziców "kupionego" od szabrownika. Tu mamy rozpocząć nowe rodzinne życie, którego nam brakowało przez tyle lat. Pierwsza zima 1948/1949 nie była łatwa, ale Brat już kończy gimnazjum, a ja chyba piątą klasę. Ojciec znajduje dobrą pracę w swoim zawodzie, Mama niestety pozostaje w domu i opiekuje się Rodziną. Dobrze nam jest, Rodzina funkcjonuje i mam wrażenie, że nawet bardzo dobrze, w odróżnieniu od innych mi znanych.

Oczywiście ciągle nad nami wisi obowiązek meldowania się Ojca do UB od sprawozdań znanego nam donosiciela. Stalinizm w 1949 roku szaleje, jesteśmy w lecie zablokowani w "kotle", który potrwał chyba 10 dni. Przez ten okres mieliśmy w domu ubowca na zmianę. Sytuacja okropna, znowu obawa, oczywiście najwięcej o Tatusia. Wieczorami modłę się o Jego życie. W pewnym momencie dyżurujący agenci nas opuszczają i zabierają Ojca do więzienia. Świadomi jesteśmy jak to się zwykle kończyło. Tych parę dni do Ojca powrotu były koszmarem. Kompletna bezradność. Jednak wraca, czyż pomogły moje modły?

Nasz dom znajdował się na Krzykach, na ul. Okrężnej. Mieszkańcy tej ulicy stanowili niezwykle konglomerat wschodni, zestaw rodzin nie tylko inteligentnych, ale i rolniczych i robotniczych, którzy pochodzili przeważnie z lwowskiego. Stosunki sąsiedzkie były wyjątkowo dobre, zaprzyjaźniliśmy się z niektórymi rodzinami i zapraszali nawzajem na imieniny i święta, a przy okazji organizowano partie brydża. Staraliśmy się i w ten sposób zapomnieć o minionej wojnie.

Jednak do odwilży/a może i później?/byliśmy pilnowani, tym razem całodobowo. Na piętro naszego domu wprowadzono urzędnika UB z rodziną, uprzednio wyrzucając do ogrodu nasze skromne meble. On mieszkał u nas do odwilży i razu jednego w nocy wyprowadził się w ciszy, bojąc się pewnie odwetu. Przyznać należy, że te kilka lat/4 - 5/żyliśmy w spokoju, myśmy go raczej nie zauważali, a on nas "pilnował".

Tatus ma kłopoty z pracą. Jak tylko zacznie pracować, dostaje wymówienie. Na pytanie dla czego, odpowiedź brzmi: "Przepraszamy, pan wie."

W międzyczasie Brat kończy liceum jako najlepszy uczeń. Na studia się nie może dostać, bo jest synem oficera sanacyjnego. Pisze więc do kancelarii Prezydenta i, o dziwo, dostaje odpowiedź, że "Polsce Ludowej są potrzebne

ręce do pracy". Jednak po roku rozpoczyna studia i kończy je z wyróżnieniem. ³ ⁴ ¹ ^{jestem} ~~Ja~~ po maturze również po dużych trudnościach, przy wykorzystaniu "chodów" dostaje się na rolnictwo, ale po roku przenoszę się na WSE - Wydział Inżynierii, na którym w 1960 roku uzyskałam stopień magistra inż. W Polsce zaczyna się dużo lepiej żyć, toteż i w naszym ~~domu~~ rodzinnym wszystko się jakoś układa.

Brat się żeni w 1955 roku z Barbarą a po roku rodzi się im syn Marek Maria. Mieszkają na razie z nami/piętro zajmuje ubowiec/ dopóki nie otrzymają mieszkania. Brat zajmuje coraz wyższe stanowiska w swoim zawodzie/dr inż./ a karierę kończy jako jeden z dyrektorów wielkich zakładów ELWRO. Często jeździł zagranicę. Tatusz też dobrze zarabia, a później ma też dobrą emeryturę.

Ja studiuje i pędzę dość intensywne studenckie życie. Lubiłam chodzić na zabawy i wykorzystywać wszystkie możliwości z życia kulturalnego i towarzyskiego. A to się rozumie, chodzenie do teatrów i na koncerty, do Klubu MPiK-u i Klubu Dziennikarzy. Prawie każdego lata odwiedzam naszych nadbużańskich przyjaciół, gdzie spędzam wakacje. W listopadzie 1959 roku z grupą studentów z mojej uczelni wyjeżdżam na miesiąc do Paryża!

Wrocław, sobota 14 lutego 1960 roku. Było bardzo zimno, padał śnieg, wiał silny wiatr. Ten właśnie dzień określił moje życie na zawsze. Karnawałowe bale i zabawy na każdym kroku: Klub Dziennikarzy, Monopol, bal architektów, medyków ~~itd~~. Jednak najciekawsze zabawy były w Pałacyku Studenckim. Jestem młodą dziewczyną, podobno przystojną i w czasie tego karnawału, według własnego wyboru - wolną. Mama żartuje, że to już czas wychodzić za mąż. Proszę więc mojego starszego "wielkiego Brata" byśmy poszli do Pałacyku. Tam gra muzyka, młodzieży pełno, tańczysz się, ale nie widzę nikogo ciekawego. W pewnym momencie zamieszanie i u wejścia, widzę grupę chłopców dwumetrowych - koszykarze "Śląska". Między nimi "Gregory Peck", przystojny, wyróżniający się od reszty, a ja nie mogę oderwać oczu od niego. Brat pogania - musimy iść do domu. Błagam, zaczekaj. Wiem, że mnie poprosi do tańca. Rzeczywiście. Tańczymy raz, drugi raz i umawiamy się na spotkanie. Wyczuwam, że nie jest Polakiem. Jugosłowianin? Niewiarygodne, ciekawe, romantyczne.

Tak się zaczęło. Spotkania, koncerty, teatr, bale. Miłość, wielka miłość. Ale kim jest ten Dušan Drlječa/29/, etnograf, kustosz Muzeum Krajowego w Sarajewie, gdzie tymczasowo zamieszkał u zamężnej siostry, stypendysta Rządu Polskiego na Uniwersytecie Wrocławskim 1959/1961. Do tego sportowiec, koszykarz, potem trener i sędzia ligowy. Robił z kolegami badania w Polsce/na Dolnym Śląsku i w Bieszczadach/. Będąc w Polsce został wybrany na asystenta w Instytucie Etnografii SANU w Belgradzie, a prace doktorską pisał na

temat osadnictwa polskiego w Jugosławii, a losem Wiślan w Serbii zajmuje się po dzień ^{dzisiejszy}. W polskich czasopiśmie drukował ponad 30 prac wszystkie przez niego pisane po polsku, i 1 książkę. Był przez ćwierć wieku bardzo aktywnym tłumaczem rozmów gospodarczych na najwyższym szczeblu i tłumaczył filmy jugosłowiańskie na język polski. Dwukrotnie odznaczony: w roku 1966 wyróżniony "Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego, a w 1985 odznaką "Zasłużony dla Kultury Polskiej". Od 14 lat na emeryturze, pracuje nadal w swoim Instytucie. W 2012 roku wziął udział ^{z referatem} na Drugim kongresie zagranicznych badaczy dziejów Polski, w Krakowie.

Ślub z Dušanem wzięliśmy we Wrocławiu "na poczcie" w 1960 roku, po czym zamieszkał z nami, na Krzykach. Rodzice go pokochali a my żyliśmy dość beztroskie życie. W 1961 roku rodzi nam się córeczka Jadranka Małgorzata. Mąż pod koniec roku wraca do Belgradu, aby zorganizować lokum u matki i czekać na nasz przyjazd, który nastąpił 5 stycznia 1962 roku.

Ten okres czekania był wypełniony ogromnymi trudnościami w przygotowaniu dokumentów dla mnie i córeczki. Trzeba było też przygotować jakiś posag. We wszystkim pomogli mi Rodzice. Byli smutni, że ich opuszczam, ale również zadowoleni, że znalazłam dobrego męża.

Nastąpił dzień wyjazdu obłany łzami przy pożegnaniu. Dopiero dzisiaj wiem i rozumiem jaki to był smutek.

Po latach pobytu poza krajem, wiele wspomnień wytarło się z pamięci. Pozostało uczucie, że decyzji wyjścia za mąż za obcokrajowca nie pożałowałam. Może podobne losy życiowe mojego męża i jego rodziny wpłynęły dodatnio na moją decyzję. Jednak patrząc z perspektywy lat, zdaję sobie sprawę, że była to wielka awantura życiowa. Przecież tak niewiele wiedziałam o Jugosławii, ludziach i obyczajach! Jedynym ułatwieniem była doskonała znajomość przez mojego męża języka polskiego i jego zamierzania do polskości, co pomogło mi w adaptacji w obcym dla mnie kraju.

Oczywiście najbardziej pamiętam ten zimowy dzień 5 stycznia 1962 roku, kiedy pociągiem przekroczyłam granicę w Suboticy z roczną córeczką i wieloma walizami "posagu". Czekaliśmy na nas rozkochany Tatuś i mąż. Byłam jednak pełna niepokoju i zakłopotania, jakie zrobię wrażenie na jego rodzinie. Przecież nie znaliśmy się - zapewne mówiono "złapała go"...

Obawy moje były zbyteczne. Teściowa/wówczas 59/ natychmiast ogłosiła, że przyjmuje nas z całego serca i "od teraz jesteście członkiniami rodziny". I tak naprawdę było. Stosunek całej rodziny był na prawdę wyjątkowy.

Teściowa ułatwiła mi przeżycie tych ciężkich chwil rozstania z moimi rodzicami, zasobnym domem i Wrocławiem. Ten dobry i serdeczny stosunek do mnie utrzymał się do końca Jej życia, a zmarła w 2003 roku, mając 100 lat!

Nie miałam większych trudności z nauczeniem się języka. Wybrałam sposób: przez 10 miesięcy "milczałam po serbsku" i czytałam. W momencie kiedy zaczęłam mówić- była to już prawie poprawna serbczyzna. Przez pierwsze trzy lata nie pracowałam.

Wychowywałam dziecko, prowadziłam z zachwytem dom, poznawałam nowy kraj. A Jugosławia jak wiadomo, była piękna. Ten zachwyt pozostał mi na zawsze. Bo przecież nie można zapomnieć pięknych miejscowości, łazurowego Adriatyku, uroczych gór i wodospadów.

Wiadomo, że samą miłością nie można żyć. Zaczęłam intensywnie poszukiwać pracy, w ramach mojego wykształcenia, co i wówczas nie było takie proste. Po wielu perypetiach zatrudniłam się w fabryce przemysłu cukierniczego. Byłam od początku do końca mojej kariery zawodowej szefem laboratorium rozwojowego. Praca w zawodzie dawała mi dużo satysfakcji: obmyślałam i uczestniczyłam w tworzeniu nowych produktów, wprowadzeniu ich do produkcji, ulepszaniu technologii. W związku z tym zwiedziłam wiele fabryk w Europie produkujących wyroby czekoladowe i cukiernicze. Brałam również udział jako ekspert w projektowaniu i wprowadzaniu nowej technologii w wielkim kombinacie w Rosji. Nie zapominając o własnym pochodzeniu organizowałam i uczestniczyłam w wymianie fachowców wspomnianego przemysłu, między Polską a Jugosławią. Ta współpraca funkcjonowała aż do wojny, która nas rozdzieliła nie tylko z Polską, ale wygasła wewnątrz samej Jugosławii.

Jeśli chodzi o stosunek ludzi i samej firmy do mnie, mogę się pochwalić, że był on wyjątkowy. Wielu kolegów i koleżanek jak również robotników okazywało mi wiele sympatii, może również dla tego, że byłam Polką. Życie w nowym kraju ułatwili mi ludzie, którzy zachwycali mnie rozbijającą nieraz szczerością i dobrocią. Miałam również wspaniałe grono przyjaciół i w związku z tym urzeczona życie towarzyskie.

Prowadziliśmy skromne, ale ciekawe życie. W ramach naszych możliwości podróżowaliśmy po Europie i braliśmy udział w życiu kulturalnym obu krajów. Rodzice i Brat z rodziną odwiedzali nas w Belgradzie.

Po moim i córki wyjeździe do Belgradu Brat z rodziną przeprowadza się znowu do naszego domu na Krzykach, tak że Rodzice mają bezpośrednią opiekę. My jednak ze swojej strony, staramy się być jaknajwięcej z rodziną więc kupujemy samochód i na każde imieniny Ojca zjeżdżamy z walówką i prezentami, pozostając przez 2 - 3 tygodnie urlopu. Stało się to tradycją.

W momencie wybuchu stanu wojennego nie zważając na trudności odwiedzaliśmy Rodziców jeszcze częściej i to pojedynczo: ja, nasza córka, mąż, niosąc im pomoc w żywności, służyć pociechą i przytulić do serca. Niestety Mama ciężko się rozchorowała i w 1982 roku - umiera. Od tego momentu wszystko już

było inaczej. Tatuś umiera w 1980 roku. Polka Ludowa długo nie uznata zastęp żołnierzy walczących na Zachodzie. Doczekała się jednak wolnej Polski. Pochowany został we Wrocławiu z najwyższymi honorami wojskowymi. Brat zmarł 10 lat później. ~~z rodzicami~~ Pozostały ^{tylko} ~~mi~~ greby, którymi opiekujemy się Bratanek i ja.

Ostatnie ćwierć wieku biorę aktywny udział w życiu polonijnym. Staramy się z mężonkiem uczestniczyć na wszystkich uroczystościach, czy też na wydarzeniach kulturalnych. Wypełnian stronice biuletynu "Słowo YU Polonii" stała rubryką "Kącik kulinarny pani Hani" i innymi artykułami. Również angażuję się bardzo w corocznym przygotowaniu wigilii w salonach Ambasady. Ale największym moim zaangażowaniem były wyjazdy na kolonie letnie z polskimi dziećmi z Serbii w organizacji Wspólnoty Polskiej. Zaczęło się od wyjazdu w czasie wojny w Serbii 1999 roku, kiedy to autobus z dziećmi i dorosłymi wyruszył do Polski - do Puszczykowa aby się tam uchronić od bombardowania. Zostałam w Budapeszcie przez pana Konsula RP mianowana na opiekunkę tej grupy. Ze mną była wnuczka Lena. Odpowiedzialność bardzo duża, a ja bez pedagogicznego przygotowania. Staralam się jak mogłam, dyskretnie kierować i pomagałam. Zostałam bogatsza o przyjaźń dzieci.

Zdaje się, że zdałam trudny egzamin, powierzone mi były jeszcze cztery wyjazdy na kolonie i to 2000 - Oleszyce, 2001 - Rabka, 2002 - Duszniki Zdrój, 2003 - Gdańsk. Myślę, że dobrze dawałam sobie radę a dowodem jest, że moi koloniści, bogatszy o poznanie Polski, wracali do domu zdrowi, szczęśliwi a rodzice byli zadowoleni.

Moja grupa dzieci urosła. dzisiaj są to studenci, a moja działalność wix kolonijna się skończyła.

x

Mimo wielu sprzeczności losu, przeżyłam ciężkie i zarazem ciekawe życie. Teraz z mężem jesteśmy na emeryturze, ale ciągle staramy się być aktywni, mają naukowo, ja natomiast mam za zadanie okupić naszą małą rodzinkę przy niedzielnym stole. Jestem szczęśliwa.

Córka skończyła studia mając 23 lata i pracuje na bardzo odpowiedzialnym stanowisku. Wnuczka Lena, doskonały student, zdała dyplom i teraz kontynuuje studia podyplomowe.

Nauczyłam i córkę i wnuczkę mówić po polsku i językiem "służbowym" w naszym domu jest język polski.

Myślę, że jeszcze życie przed nami więc c.d. nastąpi.

Hanna Maria Drljača
z domu Chełchowska

Zobacz też:

H. Drljača, Sylwetka polskiego żołnierza walczącego o wolność: Piotr Chełchowski, Biuletyn "Słowo YU Polonii" nr 20, Belgrad 2004, 5 - 6

H. Drljača, Jak go poznałam, Biuletyn "Słowo YU Polonii" nr 18, Belgrad 2003, s. 27

H. Drljača, Moje pierwsze lata w Jugosławii, Biuletyn "Słowo YU Polonii" nr 20, 18

SŁOYOU

Nr 20 BELGRAD 2004

18

WOPOLONII BIULETYN



W TYM NUMERZE:

- ◆ Wieści: Polska pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej.
- ◆ W rocznicę wielkich bitew Drugiej Wojny Światowej: wspomnienia majora Piotra Chetchowskiego.
- ◆ Polskie ślady w Normandii
- ◆ Zwyczaje: Dzień św. Jerzego
- ◆ Propozycja na lato: Muzeum Sztuki Ludowej w Otrębusach
- ◆ Wydarzenia kulturalne:
 - ◆ Wystawa W.L. Gadomskiego.
 - ◆ Występy Teatru Polskiego z Poznania i Teatru Nowego z Łodzi.
 - ◆ Wystawa fotograficzna o Getcie Warszawskim
- ◆ Z życia polonijnego: Kronika polonijna.
- ◆ Wieści z Czarnogóry.
- ◆ Nagrody dla działaczy polonijnych.
 - ◆ Jak go poznałam.
- ◆ Pierwsze lata w Jugostawii.
- ◆ In memoriam: Redaktor Jan Nowakowski.
- ◆ Z medycyny: alergie
- ◆ Informacje
 - ◆ Kącik kulinarny
- ◆ Oda do radości, hymn Unii Europejskiej.

POLSKA W UNII EUROPEJSKIEJ

N rocznice słynnych bitew II Wojny Światowej:

N bieżącym roku zbiegło się szereg rocznic związanych z Drugą Wojną Światową: 65 lat od wybuchu wojny, 60 lat od słynnej bitwy pod Monte Cassino, 50 lat od lądowania wojsk alianckich w Normandii, a w sierpniu będzie 60-ta rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego. Wspomnienia majora Piotra Chełchowskiego, choć częściowo, przybliżą czytelnikowi tamte trudne, żołnierskie wydarzenia.

Sylwetka polskiego żołnierza walczącego o wolność: Piotr Chełchowski

PIOTR CHEŁCHOWSKI, major służby stałej Wojska Polskiego, Kawaler srebrnego Krzyża Virtuti Militari, Krzyża Walecznych, Złotego Krzyża Zasług z Mieczami i innych polskich i agramicznych odznaczeń.

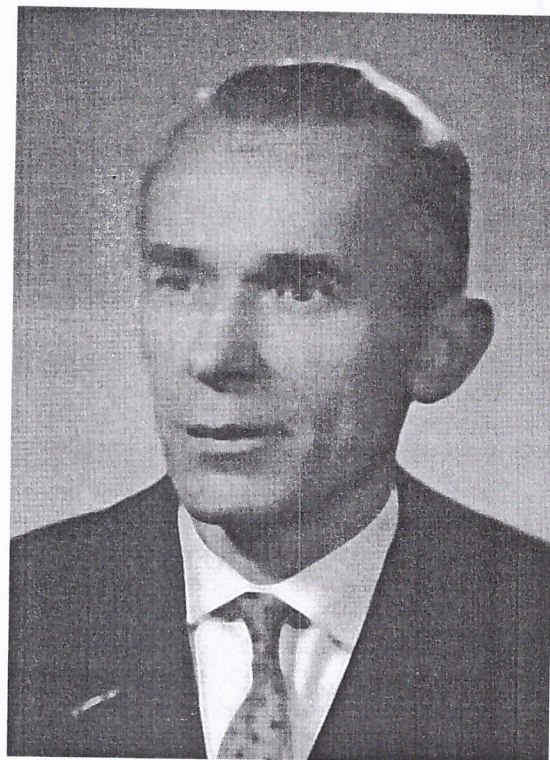
Oficer Armii „Łódź”

Wybuch wojny nie był dla nas – od miesięcy stojących tuż nad granicą niemiecką – niespodzianką – tak rozpoczął swoje opowiadanie pan major. „Gdy wczesnym rankiem 1 września 1939 roku zbudził mnie żołnierz mówiąc z przejęciem – panie kapitanie wojna! – błyskawicznie się ubrałem, wsiałem do samochodu i uszyliśmy z kopyta do naszych łącznościowców nad samą niemiecką granicę. Ode mnie i moich żołnierzy ależała łączność pododdziałów ze ztarem 30 Dywizji Pancerniej i ztarem Armii „Łódź”. Zadaniem 30 DP walczącej na południowym skrzydle Armii „Łódź” było stawianie poru na rzece Warcie. Od samego rana 1 września nasze pozycje obronne były bardzo silnie bombardowane przez Luftwaffe, później, od godz. 6 rano doszedł do tego silny ogień artylerii.

Na Warcie i Widawce w ciężkich walkach obronnych żołnierze 30 DP nie oddali swych pozycji. Dopiero w nocy z 5 na 6 września odeszli na rozkaz dowódcy Armii „Łódź” rozpoczynając swój ciężki odwrót ku Warszawie. Około 10 września rano dotarliśmy do Dłutowa, gdzie mieścił się sztab Grupy Operacyjnej „Piotrków”. Naszej piechoty w obliczu nie było i mając swoją komanię na koniach z ogumionymi kołozami, dostałem rozkaz generała Giełżaka aby dołączyć do części rezerwowej Brygady Kawalerii, która pod dowództwem ppłk dypl. Stefana Mossora maszerowała na Osuchów.

11 września po południu nasze zgrupowanie po zaciętej walce uległo rozbiciu, a ppłk. Mossor dostał się do niewoli. Ja natomiast z ośmioma żołnierzami zdołałem się przebić z bagnietem w rękę przez pierścień żołnierzy Wehrmachtu. W rozkazie pochwalnym dla 30 Dywizji piechoty skierowanym 28 września 1939 r. do dowódcy Armii „Łódź” i „Warszawa” tak napisano m. in. o mnie: „Wyróżnił się w utrzymaniu łączności w walkach obronnych na pozycji „Szczerców” na rzece Widawce oraz z wielką osobistą odwagą zachęcał swoich podwładnych do pełnego poświęcenia dla zapewnienia łączności oddziałom dywizji. Dawał też przykład bohaterstwa i poprowadził swój oddział do przerwania otaczającego pierścienia niemieckiego. Jako ostatni wycofał się z pola walki pod Osuchowem”. Kapitan Piotr Chełchowski z resztą swych żołnierzy walczył potem jeszcze do 27 września. Właśnie za pełną oddania i odwagi służbę odznaczony został Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, o czym dowiedział się dopiero kilkanaście lat po zakończeniu wojny z książki dowódcy Armii „Łódź” gen. dyw. Juliusza Rommła „Za honor i Ojczyznę”.

Po zakończeniu kampanii wrześniowej, kpt. Chełchowski w grupie oficerów przedziera się zimą 1940 roku przez Słowację, Węgry, Jugosławię do Francji, aby ostatecznie wylądować w W. Brytanii. Tam, w Szkocji wcielony został do formującej się 1 Dywizji Pancerniej. Z tą wielką jednostką Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przejechał w pancernym samochodzie drugą w swym życiu wojenną kampanię – od Normandii



Major Piotr Chetchowski

we Francji do Wilhelmshafen w Niemczech.

Z generałem Maczkiem pod Falaise

„Upalne lato 1944 roku, lato wielkich wydarzeń wojennych – wspomina major P. Chełchowski – pamiętam dobrze, choć wiek i czas zatężyły niektóre szczegóły. Dla nas żołnierzy 1 Dywizji Pancerniej skończył się wtedy 4-letni pobyt na Wyspach Brytyjskich. Po latach wyczekiwania oraz codziennej żołnierskiej służby i szkolenia wyruszyliśmy znów w bój z tym samym hitlerowskim wrogiem, z którym walczyłem już w 1939 roku w ojczystym kraju. Wyruszyłem na tę drugą kampanię już nie pieszo lub na koniu (z żołnierzami łączności, którzy mozolnie rozciągają telefoniczną sieć po polach) lecz w 16-tonowym samochodzie pancernym jako dowódca łączności artylerii dywizyjnej wyposażonej w nowoczesne środki łączności. Podlegała mi łączność w 1 i 2 Pułku Artylerii Motorowej, 1 Pułku Artylerii Przeciwpancernej i 1 Pułku Artylerii Przeciwlotniczej. W ostatnich dniach lipca 1944 r. dywizja została przetransportowana do Francji, ładując się na okręty w portach Londynu i Southampton. Przejazd przez kanał odbył się bez żadnych wypadków. Tylko oddziały płynące z Londynu przeżyły trochę emocji, gdy okręty przepływały cieśniną Dover-Galais w zasięgu niemieckich dział nadbrzeżnych w czasie przecinania trasy niemieckich

latających bomb, których dużo leciało wówczas w stronę Londynu. Cóż za wspaniały był widok – mam ten obraz jeszcze dziś jak żywy w swych oczach – wspomina mjr Chechłowski – gdy wielka pancerna masa polskich wojsk wyładowywała się ze statków na piaszczystych plażach Normandii, by potem z łoskotem gąsiennic Cromwella 10 Pułku Strzelców Konnych oraz Shermanów 24 Pułku Ułanów i innych jednostek potoczyć się w głąb Francji. Rankiem 8 sierpnia 1944 r. dywizja przejechała przez ruiny i zgłiszczą Caen. Wszędzie wokół grzmiały już setki dział. Jechałem w pancernym wozie mieszczącym stanowisko dowodzenia łączności artylerii dywizji. Po obu stronach szosy prowadzącej z Caen do Falaise zajmowały stanowiska ogniowe nasze pułki artylerii. Na płaskim, lekko sfalowanym terenie wiał w powietrzu żar letniego dnia, tumany kurzu i doprowadzający do mdłości trupi zapach zmieszany ze spalinami. Około godziny 11-tej padły pierwsze strzały oddane do Niemców. Po czterech latach przerwy żołnierz polski wszedł ponownie do walki na froncie zachodnim.

- 6 Zadanie 1 Dywizji Pancernej było następujące: mając w prawo od siebie 4 Kanadyjską Dywizję Pancerną i działając po wschodniej stronie szosy Caen-Falaise, opanować miejscowość Falaise. Skorpiony – czołgi do niszczenia min torowały nam drogę. Wyborowe oddziały niemieckie z bronią pancerną stawiały twardy opór.

Polskie pułki znalazły się pod gwałtownym ogniem dział przeciwpancernych i czołgów, idąc od czoła i z rejonu lasków na wschód od Robertmensil. W ciężkiej walce trwającej do wieczora 10 Brygada Pancerna poniosła poważne straty, podobnie jak nasz lewy sąsiad Pancerna Dywizja Kanadyjska. W pewnym momencie jadący obok mego samochodu wóz pancerny dowódcy 10 Brygady płk. dypl. Tadeusza Majewskiego zatrzymał się. Wysiedliśmy obaj z wozów na spalone słońcem rżysko. Wokół trwał krwawy bój niemieckich Panzergruppe z 7 Armii Pancernej z polskimi i kanadyjskimi dywizjami pancernymi. Nagle przyjechał do nas dowódca 1 DP gen. dyw. Stanisław Maczek ze swym sztabem. Był z nim również dowódca artylerii dywizyjnej płk. dypl. Bronisław Noel. Staliśmy wszyscy luźnym kołem i nagle prosto w środek grupy (tak nagle, że ze świstem nastąpiło uderzenie) padł pocisk. Nikt z nas nie zdążył nawet schylić głowy. Pocisk kalibru 155 mm odbił się rykoszetem i wylądował z 20 m od grupy oficerów. Generał Maczek powiedział wtedy: „Niewiele brakowało, a przestałoby istnieć dowództwo dywizji i brygady pancernej”.

O zwycięstwo w tej wielkiej krwawej bitwie trzeba było jeszcze walczyć kilka dni. 19 sierpnia 1944 r.

1 Dywizja Pancerna zamknęła ostatecznie tzw. „Kocioł Falaise” biorąc dużo jeńców i sprzętu. Potem poszła naprzód w następne boje walcząc w

dalekiej Francji o wolną Polskę. Następną bitwą pod Chambois-Moriel stała się największą i najstraszniejszą bitwą 1 Dywizji Pancernej w ciągu całej kampanii. Polscy żołnierze wzięli do niewoli o 150 oficerów niemieckich, w tym 1 generała i 4 pułkowników oraz 550 szeregowców. Zniszczyli 70 czołgów, 500 pojazdów mechanicznych, por 100 armat oraz wiele innego sprzętu.

Mjr Piotr Chechłowski powrócił z Anglii dopiero w 1948 roku świadcząc że naraża się na prześladowania polityczne, które nie ominęły również jego dorastających dzieci i małżonki. Polska Ludowa długo nie uznała zasług żołnierzy walczących na Zachodzie. Doczekał się jednak wolnej Polski. Zmarł 22 kwietnia 1990 roku. Został pochowany we Wrocławiu z najwyższymi honorami wojskowymi.

X

Belgrad, przez który się na początku 1940 r. przedostał do Splitu (stara do Francji, a później Anglii), stał się po latach miejscem stałego pobytu jego córki. Wiosną 1972 r. wrócił wspomnieniami do tamtych lat, spędzając miesiąc czasu w naszym belgradzkim domu.

Na podstawie wywiadów z Ojcem przeprowadzonych w 1984 i 1988 przez korespondenta PAP-u Andrzeja Szymurę, drukowanych w wrocławskim „Słowie Polskim”

Opracowała Hanna Dr. z domu Chechłowska

Polskie ślady na normandzkim poboju

Choć żołnierze polskich jednostek lądowych nie brali udziału w początkowej fazie walk w Normandii w czerwcu 1944 r., to już w sierpniu istotną rolę w likwidacji wojsk niemieckich odegrała 1 dywizja pancerna gen. Stanisława Maczka.

To ona - zajmując wzgórze Mont Ormel koło miasteczka Chambois - zamknęła "worek", w którym znalazła się 7. armia niemiecka i kilka hitlerowskich dywizji pancernych. Naczelny dowódca odpowiedzialny za przeprowadzenie desantu i za pierwszą fazę operacji we Francji Brytyjczyk, dowódca 21. Grupy Armii gen. Bernard Law Montgomery przyrównał potem tę pozycję, zajmowaną przez Polaków, do "korka blokującego butelkę".

Polskie pomniki związane z operacją normandzką znajdują się właśnie w rejonie Chambois, starego francuskiego miasteczka z ruinami średniowiecznego zamczyska. U stóp tego zamczyska ustawiono w 1964 roku -

w dwudziestą rocznicę walk - granitową stelę na miejscu gdzie spotkali się żołnierze polscy i amerykańscy, zamykając "worek pod Falaise". Na steli tej umieszczono później napis upamiętniający odwiedziny tego poboju w 1974 roku przez gen. Maczka.

W sąsiednim gotyckim kościółku, w prawej nawie, umieszczono pamiątkową tablicę ku czci żołnierzy-maczekowców.

Wzgórze Mont Ormel - zwane też "Maczugą", bowiem na wojskowych mapach oznaczano je poziomiami tworzącymi kształt maczugi - znajduje się o 2 kilometry na północ od Chambois.

Dominuje ono nad okolicą, a z jego szczytu rozciąga się ku zachodowi - wspaniały widok na "drogę śmierci" już w 1944 roku nazwaną polną drogą, którą próbowali wyrwać się z kotła jednostki SS i Wehrmachtu.